

STANISŁAW ZIELIŃSKI

OBRAZKI Z POWSTANIA 1863 R.



W A R S Z A W A 1935

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA“

3

STANISŁAW ZIELIŃSKI

OBRAZKI
Z POWSTANIA 1863 R.



Maria Cybulska

W A R S Z A W A 1935

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”



92406

K-41/79/98454

Drukiem Zakładów Graficznych „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy

Z KSIĘGOZBIORU
Zygmunta Salonięgo

Nr. _____

I.

POGROM GWARDJI CARSKIEJ POD DRAGI- NIAMI.

„Zagadkowa osobistość Jabłonowskiego, w którego czynnościach było więcej porządku i konsekwencji, długo interesowała nawet nas oficerów... kto on był: wielu twierdziło, że on był nie Polakiem, lecz jakimś znakomitym cudzoziemcem, inni nazywali go nawet po imieniu włoskim hrabią Bosse” — pisał oficer moskiewski w „Inwalidzie”.

Zagadkowa ta osobistość, czyli poprostu pułkownik Bolesław Dłuski-Jabłonowski, poprzednik Dołęgi w urzędzie wojewody żmudzkiego, jeden z najznakomitszych w powstaniu; a na Żmudzi niezawodnie najlepszy dowódca, którego marsze wszere i wzdłuż Żmudzi z garstką 85 doborowej młodzieży odznaczały się dokładną znajomością rzemiosła wojennego i zuchwalstwem niepospolitem, — Dłuski zadał Moskalom jedną z najstraszniejszych klęsk, jakie w ciągu powstania styczniowego ponieśli. Miarę ogromu klęski daje raport urzędowy, jeżeli zważymy, że liczby poległych Moskali w raportach tych zawsze są zełgane „in minus”, że przeciętnie ginie 3 Moskali na 100 Polaków, że rzadkością jest w raportach moskiewskich liczba strat wyższa niż 10.

„Pułkownik Daniłow kilkakrotnie atakował powstańców — podaje raport współczesny moskiewski — lecz bezskutecznie i zmuszony był cofnąć się. Zabici: z lejbgwardji sztabskapitan Neuhardt, z estlandzkiego pułku, kapitan Niekrasow i podporucznik Wescypino i 23 żołnierzy, ranni: z lejbgwardji: kapitan Rozenbach, porucznik Gogol, podporucznik Danzass, praporszczyk Stachowicz i 46 żołnierzy”...

Kto zna rodzaj pisania rosyjskich raportów urzędowych, zrozumie, jaki ogrom klęski kryje się za temi fałszywemi, ale mimo tego niebywałemi w relacjach urzędowych moskiewskich cyframi.

I dziwna rzecz; o zwycięstwie tem tak mętne są informacje — właściwie jedynym źródłem do pogromu dragińskiego jest cytowana wyżej krótka relacja — że nawet jedna z najpoważniejszych prac o 1863 roku przenosi je aż w listopad t. j. w czas, kiedy Dłuski już od czterech miesięcy był w Paryżu i kiedy, wezwany przez Traugutta, zamierzał przygotować się do powrotu na wiosnę na pole walki.

Rzecz miała się tak:

Po zuchwałych marszach, zadawszy Moskalom kilka porażek, połączył się wreszcie pułkownik Dłuski-Jabłonowski z Bronisławskim, Aleksandrajtisem i Jasińskim, a objąwszy główne dowództwo nad wszystkimi t. j. niewięcej jak nad 400 powstańcami, dobrze uzbrojonymi, ruszył na Okmianę i rozłożył się dnia 21 czerwca obozem wpobliżu Popelan pod Draginiami.

Korzystając z niegorszej pozycji i dobrego usposobienia oddziału, postanowił doczekać się Moskwy a w razach dogodnych działać zaczepnie. Wysłał więc kilka plutonów pod dowództwem zdolniejszych oficerów do pobliskich wiosek już to, by głosiły manifest Rządu Narodowego, już to w celu zakupienia żywności, a głównie dla powzięcia języka, oddział zaś kawalerji wysłał milę od obozu do Okmiany. Wróciły plutony, wróciła kawalerja, a o Moskalach ani widu ani słychu, tylko we wszystkich wsiach przygotowane były dla nich, jak zwykle, podwody. Następnego dnia, t. j. 22 czerwca, znowu rozesłał pułkownik rozjazdy, a o wschodzie słońca cały oddział był na nogach gotów do wymarszu.

Choć słońce znacznie wysoko wzbilo się nad las, rozjazdy nie wracały i to niecierpliwiło wodza, gdy w tem od strony pikiet dało się słyszeć hasło trwogi: dwa na raz, a potem jeszcze dziesiątek wystrzałów. Nie było czasu do stracenia: śle wódz adjutanta w jedną, sam w drugą bieży stronę obozu. Nie zdążył jeszcze Dłuski rozstawić strzel-

ców, kiedy już na dobre rozpoczął się ogień od tej strony, gdzie był dowódca. Ze wszystkiego widać było, że Moskale byli dobrze obznajomieni z pozycją. Ponieważ obóz powstańców jedną stroną przypierał do przepaścistego bagna, zatem już z samego początku bitwy prawem swem skrzydłem nieruchomie przyparli go Moskale do bagna, środek zaś a szczególnie lewe ich skrzydło, zaatakowało powstańców z niezwykłą natarczywością, chcąc koniecznie wepchnąć Dłuskiego we wspomniane błoto, a tem samem oddać go pod ogień prawego swego skrzydła.

Na te wszystkie moskiewskie zapędy strzelcy odpowiadali zrzadka, lecz pewnemi strzałami ze swych myśliwskich dwururek. Z godzinę trwał tego rodzaju ogień, gdy dowódca moskiewski, widząc niewygodę podobnego działania, bo już stracił sporą liczbę żołnierzy, a żadnego prawie nie widział jeszcze powstańca, postanowił działać stanowczo. Było to około godziny 7, gdy wódz moskiewski, ściągnąwszy lewe skrzydło oraz wezwawszy część rezerwy i połączywszy to wszystko w jedną, wielką kolumnę, przy odgłosie trąbki i bicia bębnow ruszył pośpiesznym krokiem na obóz powstańców.

Chwila była stanowcza.

Niemożebne było czekać na miejscu na podobny atak — krok tylko hazardowny mógł ocalić obóz.

Spiesznie więc wzywa wódz powstańczy kompanję, zostającą w rezerwie, a korzystając z nieznamomości wśród ludzi oddziału znaczenia sygnałów moskiewskich — sam



Pułkownik Bolestaw Dłuski-Jabłonowski

niegdyś oficer tego wojska — komenderuje 3-cią kompanją, na którą skierowany był atak i 1-szą kompanją spieszonym krokiem naprzód.

Nie trzeba było powtarzać komendy, minut tylko kilka piekielnego ognia a już nie było śladu Moskali.



Bitwa w lesie litewskim.

Atak strzelców żmudzkich na nieprzyjaciela tak był natarczywy, że prawe skrzydło moskiewskie, bezczynne prawie od samego początku walki, a teraz panicznym strachem przejęte, przez bagna rzuciło się do ucieczki — lecz już było za późno, bo tak szybko i głęboko posunął się Dłuski, goniąc szczątki rozbitej kolumny, że pozostawało mu tylko wstrzymać pogoń i wtył się zwrócić, aby owemu prawemu skrzydłu odciąć odwrót, co też uczynił.

Tymczasem nie próżnowały plutony czwartej kompanji, krok w krok postępując za umykającym skrzydłem. W ten sposób, gdy Dłuski zagroził odwrót, a czwarta kompanja

coraz goręcej nacierała, Moskale rzucają się na niebronione bagno, myśląc, że tą drogą unikną pogoni, lecz bagno było nadto głębokie, a strzały polskie bez pudła — gdyby choć jednemu udało się wyjść z niego.

W taki to sposób zginęły z kretesem ze świata dwie rotę dzielnych strzelców carskich, strzelców pierwszych w Rosji z celnego strzelania i niepohamowanej odwagi, w ten sposób zginęło marnie kilka secin sług carskich i od kogo jeszcze! — Z rąk tych samych wieśniaków, którzy przed miesiącem może jeszcze nie wiedzieli, co to broń, co ładunek!...

Świetne lecz smutne było to zwycięstwo, chociaż co do liczby dziwnie mało stracono, gdyż tylko 9 zabitych, 5 ciężko i 3 lekko rannych. Lecz byli to najdzielniejsi oficerowie, najodważniejsi żołnierze. Pod Draginiami legli: Dr. Aleksander Szyling, dowódca jazdy; Janczewski, b. student Wszechnicy Jagiellońskiej; dr. Lipski, Węckiewicz ze szkoły wojskowej; Ot. Proniewski, podoficer jazdy; Linkowski, Cierpiński, Borowski Wojciech, student dorpackiego uniwersytetu i inni.

II.

ADAM BITIS, CHŁOP DOWÓDCA.

Major Porada — to może jedyny z dowódców włościan w Koronie, jeżeli pominąć tu i ówdzie znachodzących się dowódców garstek żandarmerji narodowej; ale i Porada samodzielnym dowódcą nie był, lecz chadzał pod komendą innych. Litwa miała ich kilku. Jednym z wybitniejszych to bezwątpienia roztropny i dzielny Bitis.

Był włościaninem koronnym, t. j. przypisanym do dóbr rządowych. Z Białozoryszek parafji szawlańskiej, szawelskiego powiatu pochodził — Żmudzin z dziada pradziada. Dwa lata zaledwie liczył Adam, gdy w roku 1838 odumarł go ojciec, gospodarz w Białozoryszkach, zostawiając wdowę Barbarę, sześciu synów i córkę. Zwykłe koleje chłopskiego dziecka przechodził Adam, nim z wiekiem doszedł do godności parobka; cztery lata trochę pasał, sześć był półparobczakiem, wdrażającym się w rutynę wiejskiej gospodarki.

Przyszły naczelnik oddziału powstańców — po polsku nie umiał, a nie mając do czynienia z panami, nie czuł nawet potrzeby uczenia się polskiego języka, nieużywanego w tem kole, w którym się wychował. Natomiast i za trzodą i za pługiem nie rozstawał się Bitis z elementarzem. Z własnego popędu lub za poradą rzadkiego naówczas znawcy sztuki czytania, doszedł Bitis do znajomości pisma litewskiego, tak, iż z łatwością czytywał książkę do nabożeństwa i katechizm, jedyne niemal źródła, które Opatrzność zesłała dla moralnej otuchy wieśniaków. Bitis umiał, acz z trudnością, odczytać pismo, ba, nawet umiał stawiać liczby i niektóre litery: to była cała Bitisa oświata.

Bracia wyręczali go w gospodarstwie, więc Adam miał dosyć czasu do wyuczenia się ciesiołki i stolarki, do których to kunsztów brał się z amatorską gorliwością. Umysł inteligentny, przechodził Bitis nieraz wytrawnych w tem rzemiośle mistrzów.

Rzetelność, trzeźwość i uczciwa praca wysoko go postawiły w mniemaniu okolicy. Nie brak mu było ani pracy, ani przyjaciół. Lubo młody, lecz z sądem dojrzałym i tą trzeźwością pospolicie „chłopskim rozumem“ zwaną, wzywany bywał do rady w sprawach gminy, gdzie nieraz zdrowym sądem zadziwiał starców. Zacięty wróg wszelkiej nieprawości zyskał wprowadzić wielu nieprzychylnych, lecz nie zrażał się nienawiścią występnych, którym publicznie rzucił rękawicę. Drobne nadużycia miejscowe, kradzież publicznego dobra i wszelki występek — wszystko to bało się Bitisa jak ognia, obawiając się z ust jego potępienia. Z tego też względu nieczyste charaktery wytoczyły mu fałszywy proces przed rządem najeźdźczym, nieprzyjaciele znaleźli powód i środki wtrącenia go do więzienia.

Wróg wszelkiej nieprawości coraz to jaśniej widział sprzedajność i podłość najazdu, własne doświadczenie uczyło go nienawidzić Moskwy. Nastął czas reformy włościańskiej w 1858 r., szlachta smutną przewidywała przyszłość, włościanie się cieszyli. Nieufność obopólna, wpływ różnych dzie-



Ks. Antoni Mackiewicz

jowych tradycji, podlegana była fałszywemi wieściami moskiewskiej policji.

Roztropny umysł Bitisa z umiarkowaniem sądził bieżące sprawy. Nie ufał szlachcie, lecz jeszcze bardziej obawiał się cudzego wroga, narzucającego dziś bladą wolność a jutro kajdany. Bitis zresztą niczem się nie wyróżniał od jego koła, w którym żył. Włościanin z ducha i z krwi trwał wiernie w tym obyczaju, w jakim wykształcił swój umysł i serce. Tem się właśnie tłumaczy wpływ Bitisa na współczesnych i pokrewnych mu duchem wieśniaków. Stał on, jako wyraz ich moralnych potrzeb, znajdując najzupełniejsze uznanie w duszach urodzonych pod słomianą strzechą.

Gdy sprawa włościańska nurtowała w najgłębszych warstwach społecznych, Bitis w swoim kole stał na straży czystości ludowego obyczaju, głosząc zdradę najazdu. Następują manifestacje i śpiewy kościelne. Bitis nie bierze w nich udziału, potępiając niepraktyczność i niestosowność podobnej wojny z Moskałem.

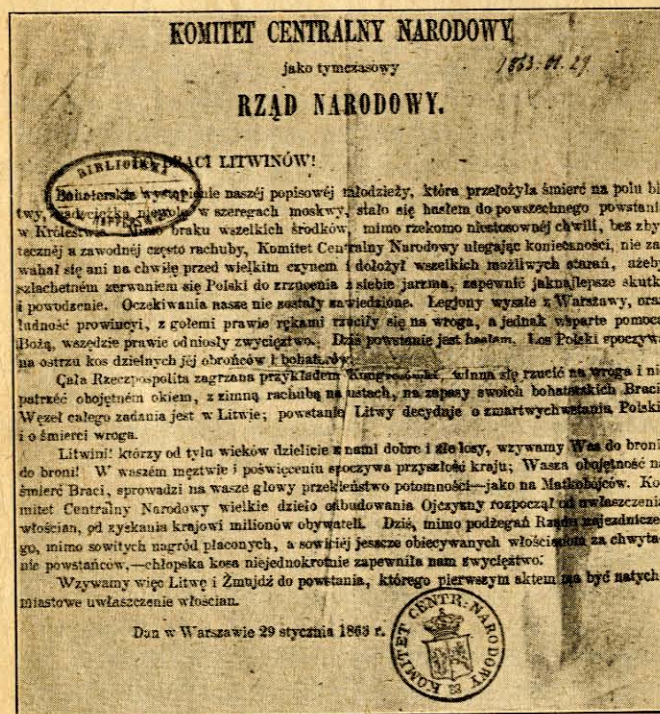
Nigdzie zresztą włościanie żmudczy nie wzięli czynnego udziału w tej sprawie, bądź nie pojmując manifestacji, bądź uważając je za wybryk szlacheckich malkontentów w celu sparaliżowania reformy. Biorący udział w śpiewach i procesjach, były to jednostki, ulegające wpływom postronnym, tem samem więc nie mogły być wyrazem ludowego ducha na Żmudzi. Manifestacje jednak budziły kraj z uśpienia i wywołały potrzebę nowej walki z najazdem, oddziałyując na wszystkie warstwy społeczne.

Te właśnie pobudki również wpływały na Bitisa. Rozrzucone śpiewki i odezwy w litewskim języku między ludem wydobywały uczucie i myśl z głębin ludzkiego ducha. Od rozpraw, gawęd i baśni politycznych przeszło do prawdziwego krztałenia się koło istotnych potrzeb Ojczyzny, Bitis niepoślednim w tej sprawie był działaczem.

Kiedy powstanie wybuchło w Koronie, a księża na Żmudzi objawili ludowi obowiązek bronienia kraju, Bitis czynnie się zajął propagandą. Wędrował od wsi do wsi, a zgromadzając w każdej ludzi poważnych, przemawiał słowami prostoty

i prawdy. Wszędzie przyjęty i zrozumiany, z prawdziwą rezygnacją oddał się sprawie Ojczyzny, równoważąc ją ze sprawą wiary.

Włościanie z zaufaniem słuchali jego mowy, bo nie mogli go posądzać o wspólne ze szlachtą zamiary. Słowa, pochodzące z serca, trafiały do ich przekonania. Bitis zresztą



Odezwa do Litwinów

nigdy nie zabrał głosu w sprawie złej i nieczystej, chyba dla zaprotestowania przeciw fałszerzom. Niekiedy zapytywano go:

Czego sobie życzysz, pocóż nakłaniasz do powstania, wszak niczego ci nie brak, masz sówitą zapłatę i czeladników, cóż ci lepszego dać może powstanie albo i Polska?

Takie argumenty Bitis odpierał, powiadając, iż nic nie posiada wobec przemocy obcego narodu.

Jutro może okupią mnie w kajdany, odstawią w rekruty i wysłżą z rodzinnej ziemi — odpowiadał. Jutro może carowi spodoba się zniszczyć nasze obyczaje, język i wiarę, więc je zniszczy, bo ma potęgę. Cóż wtenczas z naszych posiadłości zostanie?

Takiem rozumowaniem zyskiwał sobie Bitis umysły i serca równych sobie.

Nie szczędził własnego grosza, gromadząc broń myśliwską jeszcze przed wybuchem powstania. Z tem wszystkiem Bitis nie poczytywał się ani za mędrszego, ani bardziej zasłużonego od współbraci. Spełniał stolarski obowiązek we dworze marszałka Szemiota, nie zapominając ani na chwilę o obowiązku ojczystym.

Skoro powstanie wybuchło, zgromadził kilku najbliższych przyjaciół i udał się do obozu Tomasza Kuszłejki i już w pierwszej tegoż dowódcy potyczce, mianowicie pod Leńczami, dnia 1 kwietnia brał udział, jako zwykły szeregowiec. Pewien czas pozostawał Bitis w oddziale Kuszłejki, albo Gedgowda, aż otrzymał polecenie formowania oddziału w swojej okolicy, w powiecie szawelskim.

W przeciągu trzech tygodni zgromadził Bitis przeszło 70 ludzi koło siebie, zagarniając w swe ręce administrację moskiewską w kilku parafjach. Rzutki i sprytny przełamywał trudności napotykaną, otaczając swe stanowisko powagą sędziego i opiekuna włościan: godził poważniejszych, sądził różne sprawy, karciał dawne i świeże nadużycia, ogłaszał nowe prawa polskie, t. j. manifest Rządu Narodowego. Surowy a sprawiedliwy, zyskał szacunek nawet w tych okolicach, gdzie go przedtem nie znali. Oddział jego, oficerowie, zastępca — wszyscy byli włościanami (później dopiero przysłał mu Staniewicz do pomocy zawodowego oficera). Komendy podawane były w języku litewskim, nawet rozkazy do dworów po żmudzku były pisane.

Wewnątrz zwrócił Bitis uwagę na moralność żołnierza. Pod tym względem wydał oryginalne rozporządzenia niepicia wódki w obozie i zachowywania postów, w piątki

i w soboty. Zakaz ten był może jedyny w oddziałach powstańczych, a nawet wprost niemożliwy byłby, jeżeli się zważy, że dniami całymi nieraz kawałek chleba i wódka były całem pożywieniem powstańca.

Niemniej sposób rekrutacji a raczej „stan aktywny” wojska Bitisa był ciekawy: po kilka tygodni połowę oddziału rozpuszczał do domu na roboty, zaciągając w szeregi drugą połowę, która już załatwiła się z robotami koło gospodarstwa. Żołnierz, wyłamujący się z pod reguły, przyjętej w oddziale Bitisa, skazywany był na areszt, karę cielesną, poczem następowało haniebne wypędzenie z obozu. Karność była wzorowa, wyłamywanie się z pod wymienionych przepisów lub nieposłuszeństwo były rzadkie.

Znaczniejszych walk oddziałek, jako zbyt drobny, nie staczał. Natomiast, jak mógł i gdzie mógł, to skubał Moskali, dokuczał im w natrętny sposób. To, wywabiwszy częstką oddziału załogę moskiewską z jakiegoś miasta, z resztą wpadał na pozostałą nieliczną komendę, znosił ją, zabierał co się dało, zaprowadzał na chwilę rządy polskie i — już go nie było, a wracająca z nieudanej wyprawy załoga rzucała się w pościg za Bitisem i szukała wiatru w polu. To, kręcąc się wpobliżu większych oddziałów i czując, że zanosi się na rozprawę, podsuwał się bliżej, w trakcie walki jak huragan wpadał na tyły nieprzyjaciela, mieszał jego szeregi i nieraz zmniejszał rozmiary porażki atakowanego przez Moskali oddziału.

Najgorzej wychodziły na obecności oddziału chłopskiego w Szawelskiem drobne patrole kozacze, drobne konwoje i transporty. Te nigdy nie były pewne, czy ich sprytny chłopski dowódca gdzieś w jakiejś zasadce nie przydybie. Tu urwał, tu uskubnął, a razem wzięwszy wszystkie komendy moskiewskie powiatu wprowadził w ruch i w podnieceniu utrzymywał.

Moskale się sierzdzili, lecz żadna siła ludzka nie mogła wykryć kryjówek utrapionego przeciwnika. Bitis nie wieszał zdrajców, zaradzał złemu w sposób dowcipny a również skuteczny.

Pewien wójt, nazwiskiem Boks, znany był jako łotr, i szpieg. Bitis sprowadza go do obozu i rozkazuje mu wydawać piśmienne rozkazy do obywateli, poczem uwalnia Boksa, który natychmiast idzie do Moskali, zanosząc skargę. Wkrótce ukazują się piśmienne rozkazy Boksa. Napróżno łotr wypiera się i składa winę na powstańców. Po sprawdzeniu podpisów Boks wędruje na dziesięć lat do ciężkich robót.

Powstanie dogorywało. Napróżno zatwardziały Żmudzin wyczekiwał powrotu pułkownika Jabłonowskiego, jako znaku widomego interwencji zagranicznej, o której tyle słyszał. Nie doczekawszy się, powierzając oddział Wincentemu Powilańskiemu, powędrował Bitis do Paryża, aby dowiedzieć się, kiedy też ci Francuzi przyjdą pomóc Polsce.

III.

LUDWIK WALESIAK.

Sami, idąc od dłuższego czasu w okolicach Warszawy, śnać wrażeń innych i godnej kompanji zapragnęli Jankowski z Zielińskim, więc poszli w odwiedziny aż w Sandomierskie pod Borę, do dzielnego, starego Czachowskiego. Z nim, Łopackim i Grycińskim, potem z Kononowiczem, wreszcie sami o własnych siłach, narozbijawszy niejednego Klewcewa i Zenrotha, wracali „do siebie“, i tu już pod Rudą niezgorzej trzepiąc Moskala. Ale urwała się cierpliwość wroga i chmary żołdactwa: piechoty, jazdy i artylerji spłynęły z Warszawy, z Mińska Mazowieckiego, z Okoniewa itd., osaczając oddział, by go ostatecznie zgnieść i pozbyć się raz przecież zuchwałego partyzanta, co późno w zimę jeszcze miał mu niedawać spokoju. Zgnieść — to łatwo wyrzec, ale wprzód trzeba było znaleźć Jankowskiego, a to znowu tak łatwą rzeczą nie było.

Oddział przepadł bez śladu pod Chobotem, gęsto snuły się patrole koncentrujących się wojsk, wzdłuż i wszerz przebiegając lasy — ani śladu oddziału powstańczego. A przecież — przecież kryjówka powstańców dokładnie była znana okolicznym włościanom, temu chłopu, nibyto nieprzychylnemu powstaniu. A na dobytek była to okolica niezbyt ponoć dobrą ciesząca się sławą w owe czasy.

Sprytnie omijając wrogie czaty i patrole, skradały się do lasu cienie, schylone, zwinne — to chłopci wymykali się do boru, chleb i słoninę, czem chata bogata, niosąc za pazuchą, by nakarmić zgłodniałą gromadkę. A żaden nie zdradził. Był i poczciwy Walesiak wśród tych cichych żywicieli oddziału.

Syna miał, Ludwik mu było na imię, lat 20 liczył sobie parobczak.

— Rzuć pług, robota nie ucieknie, chodź ze mną, pokaże ci wojsko polskie — powiada ojciec.

I poszedł chłopak za rodzicem i ujrzał krakuski polskie i strzelców i kilku jazdy narodowej lancy. Serce mu rośnie, radość pierś rozpiera, a łza ciurkiem z oczu mu płynęła — polskie wojsko, żołnierzy narodowych widział. Nasyciwszy wzrok i ucho, wraca Ludwik do swoich wołków. „Ba! A może je zostawić, ojciec się nie rozgniewa, i pójdę do lasu i bić będę Moskali?” — pomyślał.

Świst nahajek przerwał rozmyślenia chłopaka.

— Gdzie „miateżniki”? — wrzeszczy oficer dowodzący patroliem kilkunastu kozaków.

— Nie wiem.

— Łzesz, boś co tylko wyszedł z lasu. Myśmy cię stamtąd wracającego widzieli. Zresztą chłop, któregośmy przed chwilą spotkali, mówił nam, żeś ty teraz wrócił z obozu — łgał oficer kozacki.

— Nie wiem, nie łżę — powiada Walesiak.

Ze świstem spada nahajka oficera na skroń parobczaka, a zachęceni przykładem i wezwani przez dowódcę kozacy poczynają okładać biednego chłopaka. Sypią się razy po plecach, po głowie, po twarzy, wszędzie gdzie kto trafił, po swojemu.

— Widzisz, że na nic się nie zda zapieranie się — rzecze wreszcie oficer słodziutkim głosem. — Powiedz, gdzie powstańcy, a dostaniesz to — dodaje, pobrzękując trzosem i wciskając go chłopu.

Z obrzydzeniem odwraca się Walesiak i rękami skrzwionemi odpycha pieniądze.

— Nie chcę, nie widziałem, nie wiem.

Moskal nie rozumie duszy człowieka wolnego, więc wściekłość bierze oficera. Na ten upór, który przekreśla jego marzenia o końcu trudów, boć jedno słowo Walesiaka, a byłoby po oddziale powstańców; zbyt słaby był Jankowski, by otoczony znienacka ocalić swą garstkę głodną i wycieńczoną.

Ale chłop się zaciął i milczy. Więc sypią się wzmożone racje nahajek, a pętlę zarzuciwszy biedakowi na szyję, gnają co tchu na wzgórek, by Walesiaka powiesić, raz jeszcze przed egzekucją popróbowałszy szczęścia. I pędzi uwiązany na postronku, pada, podnosi się, i znów pada, wciąż okładany nahajkami, aż wreszcie bez życia prawie dowielekają go oprawcy na pagórek.

Zeskakuje oficer z konia i nogami kopie ofiarę i wrzeszczy:

— Powiesz? Bo cię powieszę!

— Nie wiem.

I zawisł chłopak nawpół już nieprzytomny, na gałęzi i nogi martwe zwisły mu w krzakach, a kozacy cwałem popędzili, znikając w zaroślach.

I zawisł dzielny młodzian między niebem a ziemią, oczy w słup się wywracają, drga ciało umierającego wisielca, gdy naraz z głuchym łoskotem pada Walesiak na kruche gałązki krzewiny.

To kosa, zręczną ręką prowadzona, przecięła morderczy postronk. Kto rękę tę wiodł?...

Ludwik Walesiak był ocalony.

Po długiej, długiej chwili, przytomność poczęła mu wracać i świadomość, co się z nim działo. Tylko ocalenia swego nie umiał sobie wytłumaczyć. Z trudem, na czworakach, czując się jedną bryłą zbolatą, dowlókł się do chałupy.

Dnia 26 czerwca 1863 roku doręczono Walesiakowi niżej podane pismo:

„Rząd Narodowy. Wydział Spraw Wewnętrznych, N. 396/126. Warszawa d. 25 czerwca 1863 roku (pieczętka R. N.).

Obrazki z powstania 1863 r.



Pułkownik Józef Jankowski



Do Ludwika Walesiaka z Dębego Wielkiego. Szlachetny czyn twój bracie, doszedł do wiadomości Rządu Narodowego, postąpiłeś tak, jak przystoi na uczciwego i odważnego człowieka; wolałeś śmierć ponieść, niż zdradzić swoich braci i dlatego pomimo okrucieństwa Moskali nie wskazałeś im miejsca, gdzie było Wojsko Polskie. Pan Bóg sam widząc twoje poświęcenie, zesłał ci ratunek i ocalił cię od śmierci na to, ażeby dać dowód tobie i innym, że czuwa nad nami i otacza swoją opieką tych, co gotowi są poświęcić siebie dla ocalenia braci.

Rząd Narodowy, pracując nad wyswobodzeniem Ojczyzny, wie o wszystkim, co się w kraju dzieje i o tobie też dowiedział się, chociaż ty nie myślałeś pewnie o tem, że twoje imię do niego dotrze. Rząd wie i o tem, że Moskale pastwili się nad tobą i pokrzywdzili cię na zdrowiu i dlatego posyła ci 300 złotych, ażebyś się miał za co wyleczyć. Pieniądze te dane są tobie nie w nagrodę za twój uczynek, bo za poczciwość nikomu się nie płaci; każdy powinien być uczciwym dlatego tylko, że Pan Bóg tak przykazał i że tak mu sumienie nakazuje; pieniądze posyła ci się tylko na kosztą kuracji, a dla ciebie na pamiątkę niech będzie to pisanie nasze, które zachowaj sobie, ażebyś kiedyś, jak ci Pan Bóg pobłogosławi, mógł swoim dzieciom wskazać przykład, jak należy Ojczyznę i braci kochać i wiernie im służyć".
(pieczętka R. N.).

* * *

Pikieta Jankowskiego, śledząc cały przebieg śledztwa kozackiego, odciąga wisielca, lecz śpiesząc za oddziałem, losem bohatera zająć się nie mogła. Raport Jankowskiego powiadomił Rząd Narodowy o dzielnym czynie chłopca-bohatera.

Tajemnicę Walesiak zachowywał dla siebie, nie zwierzał się ludziom.

Dzielny chłopak!

A powiadają, że:

„....Chłopi nieprzychylnie byli usposobieni dla powstania...“?

IV.

KOSOWOZY MIEROSŁAWSKIEGO.

Znany powstaniec z 1831 r. i dowódca powstania w Badenji w 1848, dyktator w powstaniu styczniowym, generał Ludwik Mierosławski, był wynalazcą. Jego pomysły, jak pancerze kulochronne itd. zainteresowały sztab generalny armii francuskiej, który urządzał oficjalne próby skuteczności wynalazków polskiego generała. Wśród tych wynalazków najmniej szczęśliwym był „kosowóz“, reminiscencja rzymskich przyrządów wojennych i rodzaj prototypu współczesnej broni pancernej.

Wóz ma cztery koła — albo sześć, ale nie pięć, bo pięte jest zawsze piątem kołem u wozu, na to niema rady. Kosowozy pana Ludwika miały także cztery koła, taki już był ich los, że nie mogły mieć pięciu; ale zawsze mimo swoich czterech kół, same w sobie były piątem kołem u wozu, i nawet, niestety, czemś gorszem. Ale pan Ludwik był nieomylny, był wyrocznią, więc kosowozy musiały być i musiały mieć cztery koła.

Ni pies ni wydra, coś na kształt świdra to nie było, to nieprawda, bo to był wóz jak każdy inny. Chociaż, nie jak każdy inny, ale trochę — inny.

Techniczne określenie owego cudaczego wozu brzmiało: „Ostrokół przenośny“. Był to instrument, bez którego nie można było marzyć o walce z Moskalami. Niczem śmigownica, armaty itp. mordercze przyrządy, bo te szkodę wyrządzają kilku, a jeżeli dobrze wymierzy to i kilkunastu ludziom, a taki „ostrokół przenośny“ kompanje całe miał zmiatać, niby nie przymierzając cały rząd chłopów kosami setki kłosów ścinać na chwałę bożą, a ludowi na pożytek.

Robił się ten kosowóz we Francji i pojechał za generałem do Poznańskiego. Nieszczęściem trafił na ludzi, niewielką odznaczających się inteligencją — byli to celnicy pruscy w Bydgoszczy. Ci panowie, zabrawszy go, wrzucili między rupiecie. Sprytni bo nie byli, a i politycy nieprzewidujący; gdyby przewidzieli, że w kilka miesięcy później przyjdzie im wojować z potężną Danją, z pewnością zwróciliby byli uwagę sztabu generalnego pruskiego na tę broń straszliwą, i niezawodnie mniej pruskiej polałoby się krwi na dyplowskich szalcach.

Ale trudno. Niemiec ciężki jest w myśleniu, więc stało się.

Rozłożył się pan generał obozem pod Krzywosądem i chciał się bić, olśnić Polskę i Europę sławą nietyle oręża polskiego, co swoich zdolności. Ale cóż bez „ostrokoła“ niema wojny, trzeba robić ostrokoły. Szczęście — że był inżynier z Brukseli, co widział jak to się robi taką rzecz. Lecz inżynier tylko myśli, a rzemieślnik robi. Chwała Bogu i rzemieślnik był tam pod Krzywosądem, w sam raz taki majster od tego, boć ciesiołką się trudnił, przytem Kławiński się zwał, a u pana Duszyńskiego służył.

Więc dalej do zbożnej pracy. Dniem i nocą warczała robota, dniem i nocą pracowano w pocie czoła, a Szylder-Szuldner już się zbliżał, już się skradał, już był tuż — tu. Cóż tam Szylder a nawet dziesięciu takich; nie może zaatakować, bo cóżby się z nim stało, wszak, „ostrokoły przenośne“ są w obozie, dziesięciu Szylder-Szuldnerów w puch rozbiją.

Wre w kuźni robota i młoty wałą i głos ich donośny rozlega się po obozowisku, tną piły odporne grube bale, świst, huk, łomot dniem i nocą dochodzą z warsztatu jeden i drugi i trzeci dzień, i co pół godziny bieży majster do namiotu generała, zdać raport o postępie pracy. Profanom do warsztatu wstęp wzbroniony, bo tam, w świątyni tworzy się dzieło!

Dzieło: zboku, ztytu, zprzodu (zgóry nic) ma kosy i bagnety, w pośrodku umyślnie dla strzelców dwudziestu są przyrządy. I jedzie, i pędzi i sapie (nie wóz, ale ci co w nim siedzą) prosto na Moskala, warczą i świszczą kosy i bagnety

same, bo generał je zaczarował i pokotem kładą się w jedną masę zbite kolumny nieprzyjaciela, i rozmach i siła genialnego instrumentu, czterema, śmiertelnymi niestety, ciągniętego rumakami z kretesem zmiata i niszczy szeregi bezmyślnego rekruta moskiewskiego; zmiażdżony w puch, rozbity nieprzyjaciół o pardon prosi dumnego zwycięzcę z „ostrokołu przenośnego“, prawa wydającego podbitemu wrogowi i narodowi.

Nie stanął zwycięzca na „ostrokołe przenośnym“ — szelma Kławiński nie zrobił mu kosowozu na czas, a pan Ludwik dostał w skórę dnia 12 lutego. Radził mu wprowadzić ktoś, że w motory trza zaopatrzyć ostrokoły, bo konie Moskale wybiją nim do nich dojdą, ale powiedział pan Ludwik, że to austriackie gadanie, koni jego ostrokołu kule się nie imają, a gdy raz już kosowóz nabierze rozmachu to i własną inteligencją zajedzie w środek kolumny nieprzyjacielskiej, zresztą o motorach to już nasze dzieci niech same pomyślą.



Generał Ludwik Mierosławski

Dzielnie się biła garstka powstańców, nawet i bez kosowozów i w połowie przeszło wyginęła, nie dziw, boć zgórą pięciu miał każdy przeciw sobie Moskali.

Wozy cudackie to była specjalność pana Ludwika.

Gdy się wybierał pod igołomskie lasy, dwanaście wozów zamówił specjalnie; po sześćset franków z transportem kosztowały. Nie w smak to było Kurzynie, bo acz zakochany w inteligencji swego bożyszcza, jednak dziwactw jego nie podzielał. Pokręcał wąsy i mruczał:

— Dwanaście wozów wynosi 7200 franków, dołożmy do tego 2800 a mielibyśmy pięćset karabinów! Tych głupstw nie można mu nigdy wyperswadować.

Król Jan miał husarzy ze skrzydłami, pan generał za to miał tornister z kosami.

— Daj mi stu ludzi tak uzbrojonych, a bataljon Moskali w perzynę rozniosę.

Niestety, stu tornistrów nie było, tylko dwie chore, obwiązane sznurkami armatki, więc — była lgołomia.

* * *

Staje mi przed oczyma stary gobelin po Imć Panu Karolu, Panie Kochanku, zdobiący galerję obrazów Muzeum Rapperswilskiego. Przedstawia bitwę Rzymian z Gallami. Są tam kosowozy! Już ten stary wyga śp. pan Cezar miał węż, co dobre a co nie. Podchwycił szelma myśl generała polskiego i nuż fabrykować kosowozy i robić furorę wśród Gallów, kosztem sprytu polskiego. A szło mu dobrze, bo naówczas dawno już świat zapomniał, że kiedyś za czasów, gdy żył pan Ludwik Mierosławski, znali ludzie proch i jakieś tam sztućce, armaty itp. dziwaczne kreacje. Galję całą zawojuwał Cezar — także sztuka! Skraść panu Ludwikowi pomysł, to i Europę całą zawojuje. Trudno — świat jest przewrotny a pan Ludwik nieogłędny, że nie opatentował wynalazku, a nie byłby jakiś tam przybłęda Cezary zabierał mu plonu z pod nosa.

V.

JEDENASTU WALECZNYCH.

Własnym sumptem Aleksander hrabia Krukowiecki wystawił oddział powstańczy z sześciuset zgórą ochotników. Wzorowy panował porządek w oddziale, który dowódcami i kierownikami miał dwóch oficerów wojska moskiewskiego, braci Gustawa i Edwarda Habichów. Przewyciężywszy wreszcie liczne przeszkody i — jak zwykle — odroczywszy wkroczenie z Galicji do Kongresówki, ruszono dnia 14 sierpnia nad kordon. Wstręty i przeszkody przez Austriaków czynione, sprawiły, że z sześciuset tylko 400 oznaczonego dnia stanęło na punkcie zbornym. Po stosownej nauczce (kosztowała ta nauka wojsko austriackie 17 zabitych i rannych) stanęli powstańcy w Kongresówce, ale już tylko w sile 350 ludzi, straciwszy około 50 w rozsypce. Pod Pieskową Skałą, wypędziwszy Moskali z żyta, śmiałym bojem utorował sobie Krukowiecki wolną drogę do Głanowa. Tu, party przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi, oddziałek powstańczy rozdarty został na dwoje: Habichowie walczyli pod Imbramowicami, a tymczasem Krukowiecki na czele garstki ludzi, łańcuchem tyraljerów pod samym Głanowem mężnie odparł ataki.

Aczkolwiek doskonale uzbrojeni i dzielnego mając dowódcę na czele, nie mogli powstańcy utrzymać się wobec przygniatającej przewagi liczebnej przeciwnika. Tuż obok ogród dworu głanowskiego, grubym i mocnym otoczony płotem, a więc dający ochronę przed szarżami kawalerji moskiewskiej. Spostrzegł to przenikliwy wódz, i zuchwale rzuciwszy się na dragonów i kozaków, przedarł się przez ich szeregi i wpadł do ogrodu głanowskiego. Tu atoli zastał

już jedną rotę piechoty, rozrzuconą w tyraljery, a gdy Moskale całą siłą rzucili się na plutonik Krukowieckiego, a i świeże rotę od Olkusa ciągnęły z odsieczą, ten, celnym ogniem odparłszy nieprzyjaciela, co tchu schronił się do dworu.

Przyjęcie, jakiego w Glanowie doznał Krukowiecki, wcale nie było zachęcające. „Precz mi z drogi, łotrze, co boisz się bić na polu, a chcesz nas swoją obecnością narazić na śmierć niechybną“, wrzasnął mu na powitanie Rutkowski Leon, dzierżawca Glanowa.

Snać jednak argumentacja cicha Krukowieckiego musiała być więcej przekonywująca, niż krzyk dzierżawcy, bo jak oparzony odskoczył na bok Rutkowski, a dowódca wpadł do pokoju, a za nim dwudziestu powstańców. W mig zajęto okna, gotując się, na rozkaz dowódcy do odporu ataków bagnetem. Ledwo tylko powstańcy stanęli na wyznaczonych stanowiskach, już rozpoczął się plutonowy ogień jednej roty piechoty, podczas gdy dalsze wysuwały się z poza stodół i zabudowań gospodarczych, w tej chwili brzękły wszystkie szyby i leżał martwy dzielny Kaczorowski, jednak, były student medycyny, a równocześnie buchnął dym ze świeżo żniwem napełnionych stodół i w jednej chwili płomień ogarnął wszystkie gospodarskie budynki, o sto kroków tylko oddalone od dworu. Garstka obłożonych broniła się dziarsko mimo spiekoty i kul ziejących ze wszystkich stron, a Krukowiecki nieustannie przebiegał posterunki, zachęcając do wytrwałości i celnego strzelania. Niebawem udało się Moskalom zapalić drzwi, a wówczas wezwali kobiety do opuszczenia domu, zaręczając im bezpieczeństwo. Wszystkie kobiety wybiegły z dworu, niektóre z dziećmi na rękach. I stało się, co można było przewidzieć: sto karabinów wymierzonych w grupkę bezbronných niewiast z niemowlętami na ręku, ryknęło nagle — padła na miejscu młoda matka, żona fornała, a z rąk jej wypadła dziecina, z rączką przestrzeloną.

Zawrzała krew w dzielnych wiarusach.

— Nędznicy! — krzyknął Krukowiecki. — Tak to do trzymujecie swoich zaręczzeń? Podli, nie wstydzicie się strzelać do bezbronných kobiet, a boicie się przyjść do nas? A oni, wyjąc nieludzko, poczęli szybko znosić deski i rozmaite drze-

wo, aby powiększyć ogień i przyspieszyć spalenie się powstańców. Gorzał więc już nie tylko dach, ale i okna i drzwi, a nawet podłogi w pokojach z brzegu domu będących.

Wówczas powstańcy stracili nadzieję obrony i zwrócili się do dowódcy, prosząc, by ich wyprowadził. Krukowiecki



Obrona Glanowa 15. 8. 1863.

począł im tłumaczyć, że długo jeszcze można się bronić w samym dworze, a tymczasem musi nadejść z odsieczą albo Habich z resztą oddziału, albo też Chmieleński. Mimo to połowa prawie ludzi wyskoczyła oknami i z tych dwóch tylko cudem jakimś dobiło się do lasu, reszta leżała zakłuta przez Moskali.

Przy Krukowieckim pozostało dziewięciu: porucznik Adam Jaworski, podporucznik Ludomir Friedrich, podoficer Leon Starzewski, Józef Górski, Karol Fierganek, Ferdynand John, Józef Dudasiński, Kajetan Borowiecki, a niebawem dowlókl się ranny Martini i — Leon Rutkowski, gospodarz, który, widząc palący się dom i strzelających do kobiet Moskali, taką zawrzał zemstą, i taką zaznaczył odwagę, że

wszystkich zdumiewał. Biegał od okna i wskazywał każdego Moskala, którego można było osiągnąć, dowódcę prosząc, by strzelał, a po zabiciu rzucał mu się na szyję.

— Niech cię uściskam — wołał, — teraz cię więcej Kocham niż własnego syna. Wnet i sam porwał za fuzję, ze straszonym dla przeciwnika skutkiem, bo dobrze strzelał. Teraz już niczego nie brakło obłączonym: i smakołyki się znalazły i wiadro lemonjady dla spragnionych powstańców i co tylko w dworze się znalazło, więc i humor obłączonych był niezgorszy.

Po pewnym czasie Krukowiecki zredukował załogę do liczby dwóch najcelniejszych strzelców: on i Staszewski odtąd teraz szybko strzelali, reszta nabijała broń i — podawała lemonjadę.

Rota Moskali ze Skąły tymczasem nie wstrzymywała ognia, i ta pozostała do końca, ale zauważywszy, że co tylko przybliżyło się do dworu, ginęło od celnych strzałów, schowała się wreszcie za dwa płoty, tak grube, że kule przez nie nieprzechodziły. Z drugiej strony rota olkuska, zdala ukryta za stodołami chłopskimi, nieustannym ogniem wspierała pierwszą, lecz mniej zawzięcie, bo co który Moskal przybliżył się lub pobiegł od jednej stodoły do drugiej, to już padał w połowie drogi. Nawet ci, co tylko głowę z za węgła wychylili, często nawet schować jej nie zdążyli, tak celne były strzały powstańców.

Podczas tej strasznej dla Moskali rzezi, na miedzy stał sobie chłopiec o piętnaście kroków od nich, i w cichości przyglądał się powstańcom. Obawiano się, aby nie zechciał szpiegować i, spostrzegłszy małą liczbę obłączonych, nie doniósł o tem Moskalom. Pogroził mu Krukowiecki palcem, ale chłopiec, ręce złożony, dał znak, że nie o zdradzie myśli i do końca oblężenia z najzimniejszą krwią przypatrywał się tym zasopom bohaterskim.

Położenie jednak coraz to było groźniejsze; z jednej strony trzeszczenie ognia, spadanie krokwi jednej po drugiej, z drugiej nieprzerwany ogień plutonowy nieprzyjacielski i dzikie ich krzyki zadowolenia, że spalą powstańców, a wszy-

stko jeszcze straszniejszym czynił widok młodego Martiniego, który ranny w ogrodzie, dowlókszy się do dworu, krwią zboczony biegał od jednego do drugiego i nieludzkim głosem wrzeszczał:

— Ludzie, co wy robicie? Olesiu dobij mnie, dobij!

Ogień podsycany przez nieprzyjaciela, rozszerzał się, pokój za pokojem zapalał się, a niebawem dach, już przepalony, zapadł się i z łoskotem runęły kominy. Teraz już młodzież stanowczo zażądała, aby poddać się lub pójść na bagnety.

Wtedy Krukowiecki z rozważą położył zegarek na stole i począł dowodzić, że dom jeszcze cztery godziny może opierać się ogniom, w tym czasie może nadejść odsiecz, lub mogą ustąpić Moskale, a jeżeli do godziny ósmej — była wówczas czwarta popołudniu — nie ustąpią, wtedy poprowadzi ich na bagnety, czyli na śmierć, bo o przedarciu się do lasu nie było co marzyć.

Na to jeden z obłączonych, bardzo odważny chłopiec, odzywa się do naczelnika:

— Zginąć jak zginąć, panie naczelniku, mniejsza o to, na to jesteśmy przygotowani, gdyż chyba Bóg cudem swoim by nas z tego piekła wybawił; drogo jednak gotowiśmy sprzedać życie. Będziemy się bronili, dopóki naczelniku każesz, a jak już nie będzie można dalej, to wiem, że nas poprowadzisz na bagnety — ale, żeby to chociaż „Czas“ i inne gazety imiona nasze podały, nie żał by było umierać.

Salwom karabinów moskiewskich zawtórowała salwa śmiechu bohaterów z próżności tej przed grobem stojącego chłopca, który wreszcie, otrzymawszy zapewnienie naczelnika, że będzie w „gazecie“, skoro się wydostaną żywi z opałów z niezmiennym zapalem zabrał się do nabijania karabinów i znoszenia lemonjady. I nie zawiodło przecucie Krukowieckiego, bo od tej chwili ani jeden już z powstańców nie był ranny.

Ale czas było myśleć już o czemś stanowczym, bo jakby żałując przedmiotów, które wraz z obłączonymi mogły się spalić we dworze, Moskale po kilka razy rzucali się na bagnety, ale za każdym razem z powodu z jednej strony gorąca od

bliskich budynków, z drugiej z powodu bliskiego płotu, mogli tylko albo pojedynczo, albo we dwóch iść do ataku, a przyjmowani celnymi strzałami, straciwszy czterech lub sześciu zabitych albo rannych, którzy się zbyttno byli wysunęli, za każdym razem odstępowali.

Słychać było płazowanie opornych żołdatów, ale bez skutku — niepodobna było zmusić żołnierza do masowego ataku, czyli do pójścia na śmierć pewną od kuli powstańczej. W miarę przeciągania się tej nierównej walki rosły przed dworem kupki martwych ciał sług carskich, a ponieważ chciano zabrać trupy, co chwila przyskakiwał któryś z żołdatów i, chwytając za rękę lub nogę, ciągnął za sobą nieboszczyka, by przeważnie — powiększyć stos martwych ciał swoim trupem.

Mimo tego jednak udało się wreszcie Moskalom wykraść wszystkie trupy, a to w czasie szczególnego pojedynku, jaki się odbył między Krukowieckim a jednym z żołdatów.

O kilka zaledwie kroków od dworu stał chlew murywany dla trzody, którego dach się już spalił, a nawet jego mieszkańcy. Za węglem tego chlewa stanął Moskal i wziął Krukowieckiego na cel, kula świsnęła naczelnikowi koło głowy, poczem ujrzał tylko koniec palców Moskala, który nabijał ponownie broń. Pewny, że się wnet Moskal wysunie z za węgła czekał Krukowiecki z karabinem przy oku. Wnet Moskal wysunął głowę i uważnie patrzył, czy powstaniec jest; Krukowiecki pociągnął za cyngiel, ale z powodu twardego spustu broń zapóźno puściła i Moskal umknął, a naczelnik z swym karabinem stanął w poprzedniej pozycji; wówczas Moskal wysunął się znowu ostrożnie, wystrzelił i — również spudłował. Taka operacja powtarzała się z piętnaście razy i pomimo że Krukowiecki dobrze mierzył a i Moskal nie gorszym był strzelcem, pojedynek ten osobliwy zakończył się bezkrwawo usunięciem się ostatecznem Moskala za chlew. Jeszcze z ogrodu raz po raz pukał do Krukowieckiego, ale tak sprytnie się ukrywał, że ten w żaden sposób nie mógł go odkryć. Był to zdaje się jedyny z całej rotty, który zachował zimną krew.

Ostatecznie Moskale, widząc, że nie mogą powstańców żywcem dostać w swoje ręce, ani domu nie dopalą tak szybko, jak tego pragnęli, poczęli po bocznych ścianach dworu, w których okien nie było, wdrapywać się na wierzch i zrzucając glinę, podkładać ogień. Ale i to niewiele pomogło — długo tej operacji nie mogli Moskale wykonywać, bo stopy im wreszcie już poczęły gorzeć i — o godzinie szóstej naraz ogień ucichł i zdala tylko dolatywał odgłos bijących się wciąż jeszcze Habichów i pojedyncze strzały kozaków, którzy uwijając się po polu i znajdując rannych, dobijali ich i obdzierali swoim zwyczajem.

Atoli odstąpienie nieprzyjaciela było tylko pozorne, co też przeczuwał Krukowiecki, nie pozwalając nikomu opuścić dworu i zmuszając garstkę walecznych do pozostania w palącym i walącym się domu, sam zaś obchodził dom, by sprawdzić, dokąd się nieprzyjaciel udał. Skorzystał z nieobecności naczelnika nieogłędny Kutowski i wymknął się do ogrodu, aby się ochłodzić i zdrzemnąć i — zginął od kul całego plutonu Moskali, którzy, wróciwszy ponownie, otoczyli dom.

I znowu rozpoczęło się obleganie dworu, i ponowne podpalenie. Lecz i garstka straceńców, zajmwszy dwa ostatnie pokoje domu, nie objęte jeszcze ogniem, nie próżnowała, celnymi strzałami sprzątając kogo tylko się dało, a nikt nie pomyślał o poddaniu się, mimo uprzejmych wezwań kapitana, który bohatersko ukryty za stajnią, proponował wolny odwrot. Wydrwiony przez Krukowieckiego, — waleczny kapitan zapragnął ujrzeć oblicze polskiego dowódcy, aby sam ukryty, sprzątnąć go.

— Pokażę się, dobrze — odkrzyknął Krukowiecki — ale niech i kapitan choćby główkę z za muru pokaże i wychyli się.

To mówiąc, wychylił się naczelnik oknem, z karabinem do połowy — kapitana nie ujrzał, za to cała gromada kul świsnęła koło niego, na szczęście mierzonych licho, nieszkodliwych.

— Jeszcze Polska nie zginęła! — huknęła oblężona wiara, a ogień zdetonowanych i zwątpiałych Moskali począł słabnąć aż wreszcie umilkł zupełnie i ostatecznie.

O godzinie ósmej oblężeni usłyszeli sygnał moskiewski do odwrotu i wszystko ucichło.

Wieczór już na dobre zapadał, kiedy pani Rutkowska z kobietami przystąpiła do męża, który żył jeszcze.

— Nie żałuję — były jego ostatnie słowa — nie żałuję życia, bom przynajmniej kilku własną ręką Moskali ubił, a byłem świadkiem z własnego domu takiej bohaterskiej walki. Umieram z tem przekonaniem, że kraj ten nie upadnie, że Bóg dobrotliwy wspomże usiłowania rodaków i doda im siły do wypędzenia nikczemnego najeźdźcy z naszej Ojczyzny. W nocy zmarł.

Gdy noc zapadła, garstka walecznych opuściła zgliszczą już glanowskiego dworu i wśród nieprzebytych prawie gąszczów o świcie dotarła w miejsce bezpieczne.

Jedenastu, a nawet dziesięciu tylko zdrowych powstańców przez cztery godziny w gorejącym się domu stawiało opór całej rocie Moskali przez pewien czas dwom aż kompanjom moskiewskim. Jedenastu obronną ręką walecznie wyszło z opresji trzydzieści razy liczniejszego nieprzyjaciela. A minut pięć najwyżej starczyłoby dziczy moskiewskiej, by na bagnietach roznieść garstkę bohaterów. Sześćdziesiąt cztery trupy złożył Moskal u stóp bohaterskiego dowódcy powstańczego, ale sam na bohaterstwo się nie odważył.

VI.

„NA PRÓBĘ“.

Pod koniec czerwca zjawiło się u komisarza cywilnego kilku chłopów z pod Krasnegostawu z wyrzutami, dlaczego nie bierze się ich do pomocy w tej wojnie (wówczas właśnie organizował się w tych stronach Rucki) — oni są Polakami i tak dobrze jak szlachta radziby pozbyć się wroga.

Przyjęci serdecznie, oświadczyli, że zebrało się ich trzystu i że czekają rozkazu. Komisarz, uradowany takim nabytkiem, posłał ich do S., aby tamtejszy rządca umieścił ich w bezpiecznym miejscu w lesie, aż do nadejścia oddziału Ruckiego, a w kilka godzin później udał się za nim, aby zarządzić dostarczenie żywności i innych potrzeb. Dopędziwszy ich w samem S., podprowadził do lasów Cycowskich, ustawił, rozdzielił i przeliczył — było ich dwustu siedemdziesięciu, żadnego w surducie, samych chłopów z dóbr rządowych około Krasnego.

Sformowawszy ich w dwudziestki, polecił im komisarz, aby sobie do każdej partji dobrali starszego czyli dowódcę, jedną partję nazначzył na pikiety, które sam rozstawić musiał, a drugą na złuzowanie tejże i zamierzył oddalić się. Ale chłopci wystąpili do wojny na własnych śmieciach i o własne śmiecie, po dokładnem rozważeniu warunków i okoliczności, to też z rozważką i powagą obliczywszy wprzód wszelkie ewentualności i następstwa.

Raz sformowani uważali, że idą na bój, na śmierć może pewną, niech więc, gdy któryś z nich zginie, najbliżsi o tem wiedzą, „bo to jak człek idzie do wojny, niejednemu Bóg da śmierć“, wobec czego poprosili komisarza o sporządzenie kompletnej listy wszystkich ochotników.

Po powrocie komisarza z objazdu pikiet zgromadziła się starszyzna, nową przedstawiając prośbę: aby sprowadzić kilka koni, by od czasu do czasu mogli kogoś od siebie wysłać, ażeby też wyrzął za las, „bo my tak w środku stoimy“ — mówili — „i nic nie wiemy, co za lasem się robi, a nawet jakby przyszło i uciekać, toby człek nie wiedział w którą stronę“.

Niestety niejednemu z dowódców powstańczych podobne myśli i zarządzenia nie przyszły do głowy, czego skutki by-



Śmierć pułkownika Czachowskiego pod Wierzchowiskami 6. 11. 1863

wały smutne, gdy nagle napadnięci całe oddziały w jednej chwili marnowali. Ale wspomniany oddział był chłopski i chłopski zdrowy posiadał rozum.

Wszystkiego na cały ten oddział było — cztery strzelby pojedynki. Otrzymawszy przyrzeczenie dostarczenia broni, opuszczającemu ich komisarzowi oświadczyli na koniec, że oni przybyli tylko na próbę, a gdy pójdzie po ich myśli, to co żyje we wsiach, przyjdzie do obozu.

Dwa dni pozostał komisarz w tym osobliwym oddziale, bratając się z siermiężnymi, marząc o możliwości pospolitego ruszenia i jego konsekwencjach.

Przez kilka dni wiarusy, pod kierunkiem Tymana, dy-misjonowanego z wojska rosyjskiego oficera, przysłanego im przez komisarza, ćwiczyli się pilnie w rzemiośle wojennem.

Wreszcie Rucki, straciwszy pod Urszulinem większą część licznego oddziału, zwiększył go zastępem swych chłopów syczyńskich. Nie długo jednak wiara pozostała pod komendą majora Ruckiego i wogóle w szeregach powstańczych. Po najbliższej walnej porażce pod Kaniową, chłopci przyszli do przekonania, że źle ich prowadzą dowódcy. „Z takiej wojny nic nie będzie“ — wykalkulowali. Zostawili Ruckiego ze stu kilkudziesięciu ludźmi w lesie syczyńskim i poszli do żon i dzieci. W oddziale powstańczym pozostało tylko kilku chłopów — powstańców na próbę.

Nie ich to wina, że przestali być powstańcami, bo to już chłopska natura, że żąda, aby co robić, to robić — akuratnie

VII.

HERSZKO - ZUCH.

(Z opowiadań Bosaka).

Generał Bosak-Hauke wpadł w matnię; oddział liczący 700 ochotnika, otoczony był z trzech stron przez silne kolumny moskiewskie. Mimo tego, powodu do zwątpienia nie było, pozostawała bowiem wolna droga do B., skąd kilkunastu było w oddziale i znało doskonale każdą ścieżkę. Nim Bosak, dawszy dyspozycję do wyruszenia w pochód o świcie, zdążył ułożyć się do snu, wszczął się hałas na pikietach i wnet do namiotu wprowadzono szamocącego się żydka, który na gwałt domagał się, aby go natychmiast stawiono przed dowódcę oddziału, gdyż Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego zna lepiej, niż swego rabina.

Żydek ten — był to Hersz, dobry znajomy generała; nieocenione usługi oddawał Bosakowi podczas całego powstania za wynagrodzenie tak małe, że widoczne było, iż nie dla zysku to czynił. Młody agent nie zjawiał się nigdy bez ważnej przyczyny, więc i tym razem musiał mieć coś ważnego do powiedzenia. Gdy się zbliżył pod strażą na jakieś dziesięć kroków, rzucił na generała przenikliwe spojrzenie, a potem, padając na kolana, zaczął płakać i wrzeszczeć.

— Ja spokojny człowiek, Jaśnie Wielmożny Panie Obywatelu, a oni gadają, że ja szpieg? Co za szpieg, biedny Żyd, chodzi co kupić, co sprzedać, aby siebie, ojca i matkę wyżywić.

Tak lamentował Hersz. Zrozumiał Bosak, o co chodzi i odesłał eskortę, zapewniając, że zna żyda. Uraczony posiłkiem, chciwie jadł zgłodniały nieborak, popijał herbatę — ale mięsa nie tknął, szanując zakon.

— Więc cóż, mój Herszku — zagadnął generał po chwili milczenia. — Nie nadarmo odegrałeś komedję i nie pokazałeś przepustki, coś ważnego cię tu sprowadza?

— Generale, — odparł Hersz, nachylając się ku Bosakowi — zwiń obóz i uchodź do C.

— Nie mogę, tam czyha na mnie Czengiery, trzy tysiące.

— Żle generale, — to staraj się dostać do D., tam dobry szlachciś poprowadzi dalej.

— Trudno, i tam stoją Moskale, chociaż nie wiem na pewno, ilu ich jest, ale mają artylerję, więc trudno mi mierzyć się z nimi.

— Nu, co to? A na co tu pan generał wlaź — krzyknął Hersz przerażony. — Biada! To niech pan idzie do P..., źle tam, chłopcy szelmy, ale będą się bali, innej drogi niema.

— Mój Herszku, tam właśnie najgorzej, w tej chwili najgłośniejsza kolumna moskiewska tam stanęła kwaterą.

— O joj, poco pan tu wlaź?! Co to jest, co pan będzie robił teraz — lamentował nieprzerwanie pocziwy Herszko.

— Rano zwróćę się do miasteczka B., tam niedaleko lasy nieprzebyte, należące do ojca mego adjutanta; tam znajdę magazyn oddawna już przygotowany, trochę broni, amunicji, ubioru i bielizny, a żywności na długi czas.

— To bardzo pięknie, panie generale, bardzo pięknie, to dobrze obmyślane, ale cóż, kiedy nie może być — odparł Hersz tonem pół smutnym, pół drwiącym.

— Jakto nie może być?

— Ot dlatego, że do B. stąd są cztery mile, a we wsi K., mniej więcej na połowie drogi, nocują teraz dwa bataljony piechoty, dwie seciny i pół baterje, które raniutko już zaczną panu przygrywać.

Był to cios dla generała, bo wiedział, że Herszko mówił prawdę, gdyż nie tylko był roztropnym i pewnym agentem, ale nawet szczerze i fanatycznie przywiązany do Polaków, które to przywiązanie wpoili mu sami Moskale moralnym sposobem, no i środkami bolesno-fizycznymi. Człowiek ten pałał zemstą do Moskali, a z całą zawziętością fanatyka służył sprawie polskiej.

Podczas gdy Bosak, zastanawiając się nad wagą tego doniesienia, począł obliczać możliwość wydostania się z kleszczy, Hersz nagle mu przerwał tok myśli.

— W kiepskim bardzo położeniu jesteś pan generał; dasz radę, ja wiem, ale pozwól, żebym ja, biedny Żyd, trochę się przyczynił do tego.

I mówił długo, z zacięciem, a tajemniczo.



Gen. Józef Bosak-Hauke

— Ale chłopcze — rzecze Bosak — zginiesz marnie, i to nie jak żołnierz w boju, tylko jak podły szpieg pod kijami.

— Niech i tak będzie! — odparł Herszko, i jakiś dziwny rys szlachetny przemknął mu się po twarzy.

— Zginę, no to zginę, wycierpię, a może i nie zginę — ale słowa „może i nie zginę“ wymówił z taką pewnością siebie i wiarą fanatycznego przyjaciela sprawy.

Oddział powstańczy już od czwartej rano był gotów do boju lub do pochodu.

Czekał tylko Bosak umówio-

nej wiadomości od Herszka, z którym posłał trzech pewnych włościan, oddawszy ich bezwzględnej jego dyspozycji, aby donieśli mu o ruchach kolumny, zamykającej przejście do lasów pod B.

O godzinie siódmej z rana pędzi dwóch włościan, donosząc, że Moskale opuścili rzeczoną wioskę K. i ruszyli w bok ku miasteczku M., dwie mile od obozu powstańczego, zostawiając w K. tylko garstkę kozaków. Ruszył natychmiast Bosak do K., przepłoszył kozaków, a około południa całemi pierściami odetchnął oddział powstańczy, znalazłszy bezpieczne schronienie we wspomnianych lasach.

Dlaczego Moskale zesłali oddziałowi z drogi?

Stało się to tak.

Gdy kolumna moskiewska w K. gotowała się rano do wymarszu, przyprowadzono do dowódcy nędznego Żyda z głupkowatą twarzą i drżącego ze strachu. Zatrzymany przez warty i zapytany skąd idzie, odpowiedział, że z M.; pytany dalej, czy widział „Bandę“, powiada, że widział.

— A gdzie? — pyta skwapliwie Moskal.

— W M. — mówił Herszko.

— Więc tyś widział bandę na własne oczy?

— Na własne, jaśnie panie generale.

— A gdzie ona stoi?

— Na rynku w M.

— A wielu ich jest?

— A wielu.

— Ale tak, mniej więcej?

— Nu, ja nie wiem, ja nie rachowałem.

— A kawalerję mają?

— Nu, ja nie wiem, musi tam być i kawaler i żonaty!

— Ośle, o to nie pytam — czy konie mają?

— Mają, mają.

— A dawnoś widział bandę?

— Dziś rano przed świtem jeszcze widział.

Indagowano jeszcze pewien czas Herszka, lecz więcej od głupkowatego żydka dowiedzieć się nie było można, to tylko było pewne, że w M. była „banda“, t. j. oddział powstańczy, który w razie zaatakowania Bosaka, mógł wpaść Moskalom na tyły. Należało więc znieść wprzód ów oddziałek „na rynku w M.“, aby móc potem całą siłą uderzyć na Haukego. Zawołano Herszka.

— Słuchaj, Żydzie — rzekł dowódca kolumny — jeżeliś prawdę mówił, otrzymasz sowitą nagrodę, jeżeliś kłamał, będziesz wisiał. Zastanów się zatem dobrze; daję ci do namysłu pięć minut czasu.

— Naco pięć minut, ja prawdę mówił; jaśnie pan generał sam się przekona.

Wzięto Herszka pod silną straż i w szyku bojowym ruszyła kolumna moskiewska na „bandę“ powstańczą. Im więcej

Moskale zbliżali się do M., z tem większą postępowali ostrożnością. Wreszcie dotarli do wyżyny, dominującej nad miasteczkiem, położonem w kotlinie. Hersz, trzymany pod wartą, stał tuż obok dowódcy, obserwującego lunetą miasteczko. W mieście, jak zwykle w dzień nietargowy, na rynku było pusto; trochę snuło się Żydów, ale niczego podejrzanego nie można było dojrzeć.

— A gdzie stoi banda? — pyta się Herszka dowódca.

— Tam na rynku.

— Ależ nikogo na rynku nie widać.

— Bo wun w ten wielki biały dom zajezdny siedzi.

To było możliwe. W ogromnem tem zabudowaniu mogło się zasadić kilkuset ludzi, drudzy może po innych domach się zaczęli.

Z zachowaniem wszelkich ostrożności kolumna moskiewska podsuwała się pod miasteczko; konnica zataczała krąg, aby uciekającym powstańcom drogę odciąć, większa część piechoty szła sformowana do szturm, reszta z artylerją postępowwała w rezerwie. Tak Moskale doszli do rynku nie napotkawszy powstańców, i tu dopiero z okrzykiem „hura“, przy odgłosie trąbek i bębnow rzucili się na dom zajezdny, gdzie podług Herszka miała się znajdować „banda“.

Ale daremnie przeszukano całą karczmę, prócz wystraszonych Żydów i mnóstwa bachorów nie znaleziono nikogo. Rewizja całej mieściny nie lepsze wydała wyniki,

Dowódca wpadł w pasję; zebrawszy sztab, kazał przyprowadzić Herszka.

— No, psia wiaro! Zakpiłeś z nas i będziesz wisiał. Ale powiedz mi, co cię spowodowało do tego, żeś nas oszukał i na śmiech naraził?

— Jaśnie panie generale — wrzeszczy Herszko, zanosząc się od płaczu i tarzając się na kolanach, — niechaj mnie wszystkie kary i nieszczęścia na tym i na tamtym świecie spotkają, jeżeli ja choć jedno słówko nieprawdy powiedział.

— A to szelma. W żywe oczy się zapiera — a gdzież „banda“?

— Nu, wun tutaj, w ten zajezdny dom! — lamentuje Herszko.

— Ależ psia wiaro, tam żywej duszy niema.

— Jakto niema, ta on sam teraz przed domem stoi.

— Kto taki? — krzyczy zniecierpliwiony do najwyższego stopnia dowódca moskiewski.

— Nu, ta to ów Banda, co zajezdny dom jego, on się przecież zowie Banda, całe miasto może poświadczyć.

— Toś ty nas na tego bandę prowadził?

— Nu, a na jakiego? Ja drugiego nie znam. Panowie wojsko pytali, czy ja widział Bandę, ja po prawdzie powiedział, że widział. Kiedyś widział? Rano widział. Gdzie wun jest? Na rynku jest w M. Czy dużo jest Bandy? Dużo. Un sam ma dziewięcioro dzieci, a przytem i szwagier i krewni; będzie ich z pół kopy, czy konie jest? Jest. Ja wszystko prawdę mówił.

— Ależ gałganie, jam się pytał o bandę powstańców, a nie o Żyda.

— A czy ja wiedział? Jaśnie panie generale, co ja wiem, czy u powstańców jest jaki Banda. Ja myślał, że ten Banda musiał co bardzo wielkiego skraść lub zabić, bo tyle wojska na niego idzie.

Złoscili, ale i śmiali się Moskale, lecz żadnemu nie przyszło na myśl, że zostali zmystyfikowani, a Herszko wprawdzie nie zawisł na suchej gałęzi, ale baty dostał i to jakie jeszcze! Miesiąc trwało, nim się wylizał, lecz nie żałował ni strachu, ni bólu, a gdy wyzdrowiał i dostał się do Bosaka, opowiadał całe zajście z humorem takim, że wszyscy zanosili się od śmiechu

KONIEC.



92406

DO NABYCIA W „BIBLIOTECE POLSKIEJ”

TEGOŻ AUTORA

Bitwy i potyczki 1863/64. Rapperswil 1913. Nakładem Instytutu Wydawniczego Muzeum Narodowego w Rapperswilu, str. 559 + 1 tabela potyczek + 2 mapy potyczek (wyczerpane).

Spis alfabetyczny i chronologiczny bitew i potyczek 1863/64. Rapperswil 1913, str. 60.

Wyprowa S. S. Rogozińskiego do Afryki. Warszawa 1933. Nakł. Ligi Morskiej i Kolonjalnej, str. 36.

Mały słownik polskich pionierów kolonialnych i morskich: podróżnicy, odkrywcy, zdobywcy, badacze, eksploratorzy, emigranci-pamiętnikarze, działacze i pisarze migracyjni. Warszawa 1933. Nakład Ligi Morskiej i Kolonjalnej, str. 682.

Stefan Rogoziński 1861—1896. Z bibliografią prac Rogozińskiego i literaturą dot. wyprawy kameruńskiej. Warszawa 1934, str. 15.

Potrzeby piśmiennictwa polskiego w zakresie spraw morskich, migracyjnych i kolonialnych. Odbitka z „Spraw Morskich i Kolonialnych”. Warszawa 1934, str. 14.

Ludzie morza i Pomorza. Odbitka z Informatora morskiego i kolonialnego. (300 notatek biograficznych.) Warszawa 1935, str. 19.

Józef Siemiradzki. Odbitka z „Spraw Morskich i Kolonialnych”. Warszawa 1935, str. 13.

Polska bibliografia morza i Pomorza. (Skrót). Warszawa 1935. Nakł. Ligi Morskiej i Kolonialnej, str. 164.

Wybitne czyny Polaków na obczyźnie. (450 faktów, 250 notatek biograficznych). Warszawa 1935. Nakł. Światowego Związku Polaków z Zagranicy, str. 124.

Bibliografia czasopism polskich zagranicą 1830—1934. Nakł. Światowego Związku Polaków z Zagranicy. Warszawa 1935, str. 296 + mapa rozmieszczenia punktów wydawniczych w Ameryce Półn.

Obrazki z powstania styczniowego. Warszawa 1935, str. 39. „Biblioteka Polska”.